

*Rok Grunwaldzki na zamku w Malborku*  
Konkurs literacki *Mój Grunwald*

Kategoria III

**MIEJSCE III**

Jakub Stępień

**DZIWNY KRAJ**

- Farmazony nam jakoweś sprzedajecie, dziadzie! – rzucił wysoki, rudowłosy pacholek, siedzący z tyłu. Na jego piersi spała mała, umorusana dziewczynka – My was prosilim o bitwie wielkiej opowiadać, co to nasz pan niby na niej stawał, a wy tu o jakiejś jodle prawicie!
- Nie jodle, ale Jogile! - ryknął ślepy dziad, machając kijem. Jego pomarszczona jak zepsuta śliwka, ogorzała od wiatru twarz, pokryta była licznymi, srebrnymi bliznami. Dziad miał także długą, zaniedbaną brodę, skołoduninoną niemilosiernie. Szmaty, które służyły mu za ubranie śmierdziały mieszaniną wódki, potu, końskiego łajna i ryb. Bajarz siedział na zwalonym przez ostatnią burzę potężnym pniu dębu. Dookoła niego zebrał się tłum dzieci – głównie chłopców. Kilka dzielniejszych dziewczynek również oczekiwało na opowiadanie starca. Teraz jednak większość patrzyła na ślepego z nieufnością. Rudy Badył, ten sam pacholek, który przerwał dziadowi, był najstarszy we wsi. Skoro jemu coś się nie podobało, reszcie dzieci też nie.
- Mówię o królu Jogile, zwanym też Jagiełłą, w tym kraju, gdzie to ojciec waszego pana zginął. Wasz pan bowiem pacholeciem wtedy był, nie większym od smarkatego podrostka, który teraz dobiera się do moich toreb. Drewniana laga wylądowała na głowie pyzatego pięciolatka. Ten z płaczem pobiegł do wioski. Część dzieci zaśmiała się głośno, ale Badył nie ustępował.
- Mówcie dziadzie, ale już! Matuś zaraz na obiad wołać będzie, a wy nawet żeście nie zaczęli!
- Dobrze, już dobrze, psie juchy! – rzucił ostro dziad, gładząc się po brodzie - Jak wam wczoraj opowiadałem, Wasz pan Friedrich von Lovenlande, co to w herbie ma czarną lilię na niebiesko – szkarłatnej szachownicy, miał ojca, sławnego przed laty w narodzie naszym, rycerza na schwał! Zwał on się Otto von Lovenlande, a sława jego ho ho! Na wieść o planowanej wielkiej napaści na Zakon Najświętszej Maryi Panny... - tu przeżegnał się w ciszy. Podobnie postąpiły dzieci -... bez chwili wahania pożegnał swoją żonę, ucałował syna i ruszył w stronę Malborka. Tam spotkał się z samym wielkim mistrzem. Przystąpili oni do rozplanowywania strategii, a pierwsze, pamiętne słowa pana von Lovenlande brzmiały...

\*\*\*

- ... dziwny ten Wschód! Mają wojska zaciężnego niewiele, a mimo to, na równinie, pod Tannenbergiem chcą stawać.

Otto von Lovenlande przymierzał kolejny kaftan. Ów nowy ubiór zadziwił barwami – był szachownicą złożoną z niebieskich i czerwonych pól. Znaczyły ją czarne jak noc lilie. Baron bowiem stawał na czele zaciężnego wojska z Miśni. Poza nim i jego pachołkiem, w sali znajdował się jeszcze ponury i małomówny Johan von der Merse, komtur toruński. Znany był ze swojej gburowatej natury, ale von Lovenlande wiedział, że ów pan z Torunia był doświadczonym rozważnym wojem. Sam Otto był to mąż ogromnego wzrostu, z małymi, czarnymi oczkami i, sięgającymi piersi, wąsiskami. Krótka, fryzura przypruszona była już siwizną. Siłą w rękach dorównywał niedźwiedziowi, ale poprzez rozbudowaną muskulaturę, wszystkie ubrania musiały być szyte na miarę. To zaś zajmowało krawcom dużo czasu.

- Nie lekceważ ich Otto...- der Merse kończył swój posiłek. Krótką, siwą brodę zdobyły kropelki krwistoczerwonego wina. Pociągła twarz komtura zdradzała zrezygnowanie i ponurą obojętność – Jagiełło nie jest głupi. Nie raz udowodnił, że tym litwińskim zwierzętom nie można ufać. A i Polacy nie lepsi. Żrą ze swoimi psami, chędożą byle dziewczki. Powiadają, że każdy rycerz w tym zacofanym kraju ma najdalej trzy pokolenia wstecz matkę, albo babkę ze wsi. Ot są, królewskie syny! – przerwał na chwilę obserwując pachołka. Otto zrozumiał.
- Dosyć! – odepchnął obcesowo parobka. Ten nie rzekł nawet słowa – Mój płaszcz, kolczuga i miecz, ale już! - ryknął, wyganiając chłopca z sali.
- Mimo twojej ewidentnej pogardy wobec naszego wroga, mamy go nie lekceważyć, co Johan? – potężny rycerz nalał i sobie do kielicha. Wychylił go jednym haustem.
- Dobrze wiesz, jak jest... - komtur pokiwał głową. - Wielki Mistrz mówi, że Bóg z nami, ale kto ich tam wie... Jagiełło i Witold nie takie podobno bitwy wygrywali.
- Eeee, babskie gadanie. Gotów jesteś zaraz powiedzieć, że jaki diabeł albo inna mara za nimi stoi. A toć zwykli poganie, jako inni... Święty zakon nie takie narody mordował. Nie tacy już ustępowali przed stałą i ogniem naszych oświeconych idei...
- Mówisz jako i oni...
- A bo miałem i jednym z nich być. Ale wiesz... - dodał Otto, po chwili ciszy śmiejąc się znacząco – krew nie woda, burzyć się może. Trafiła się jedna dziewczka, panna dworska, co to do mnie zapalała uczuciem, a ja i do niej. Nasze uczucie się skończyło, a brzuch został. Toć musiałem się żenić. Teraz mój syn, tłuste, rozpieszczone prosię, wychowane przez swoją szkaradną, rozdętą mamuszkę, siedzi i beczy. Na Boga! Wyrośnie mi na jakiegoś, nie daj Panie, poetę albo innego piśmiarza! Taka jego mać! Ot dlaczego nie mam ja krzyża na płaszczu. Żałuję tego, jak mi Bóg miły!

\*\*\*

- ... ot dlaczego nie mam ja krzyża na płaszczu,” rzecze pan Otto. „Syn mój był mi droższy i miłość do najpiękniejszej kobiety, jaka po ziemskim padole chodziła. Święta Matka mi to wybaczy, bo moje dziecko, piękny, robotny anioleczek, wyrośnie kiedy na wspaniałego rycerza!
- Na chwałę Jej Syna Zmartwychwstałego będzie plugastwo tępił! A jeśli, daj Panie, wyrośnie na jakiego uczonego czy kaligrafa – tym lepiej! Ot, czemu ja nie mam krzyża na

płaszczu! Ale żałować, jak mi Bóg miły, nie żałuję!” – zakończył dziad głośno, teatralnie wznosząc rękę ku górze.

- Kogo to obchodzi?! – ryknął równie głośno rudzielec. Jego siostra przebudziła się, ale zaraz potem zasnęła – Wy nam o bitwie prawcie! O mieczach! O mordowaniu!
- Nie przerywaj mi chłopcze! Wszystko jest ważne! Nazajutrz rada się zebrała, co to cały plan bitwy wykreśliła. Wielki Mistrz, pan Otto i reszta cała naszego dostojnego rycerstwa radzili do późnej nocy... Dnia następnego, wszelkie wojsko zebrało się i ruszyło na pole bitwy. Po wielu różnych przygodach, mniej lub bardziej chwalebnych, stanęło wojsko pod Tannenbergiem. Wieś to była najzwyczajniejsza, mizerniejsza od waszej jeszcze dzieciaczki... Rankiem zaś, piętnastego lipca, wszyscyśmy się uformowali w szykach, czekając na nieuniknione.
- To tyś dziadzie tam był?
- Jako żywo. Stawałem w chorągwi wielmożnego pana Otto właśnie. Razem z moimi druhami, gotowi byliśmy oddać życie za naszego dowódcę...

\*\*\*

- Nawet za drugie tyle nie mam zamiaru nadstawiać głowy. – mruknął pod nosem Dieter der Meißen. Jego ogorzałą od słońca twarz znaczyły liczne, srebrne blizny po oparzeniu. - Nadal nie wiem, co ja tu robię...
- Jak to co... - odpowiedział mu chudy jeździec - Za pieniądze będziesz bronił godności wspaniałego, jaśnie oświeconego Zakonu...
- Jeszcze jedno słowo Schlebeinzerge, a Bóg mi świadkiem, będziesz zbierał swoje zęby z tego wychudłego muła, którego ty ośmielasz się nazywać rumakiem bojowym. Otto przejeżdżał się wokół swojego wojska, przeklinając w duchu. Dano mu chorągiew ochotników, zbieraninę hałastry i plugastwa. On ma iść w bój, w lśniącej zbroi, na karym Bucefale, z mieczem przy pasie. Miał walczyć o wolność Zakonu, który był mu tak drogi. Miał walczyć, mając za sobą stado dzikich, nieokrzęsanych rębajłów. To chyba Bóg się mści za błędy młodości
- A pan myślisz, że ja taki chętny do oddawania głowy za ciebie, panie „Czarna Lilia”?- ciągnął Dieter, pociągając nosem. Mizerykordia i buława wisały mu przy siodle. Kwadratowa tarcza, wgnieciona w kilku miejscach, oraz strój Meißen’a wskazywały na jego ubogie dochody. Mimo to, poparzony rycerzyk gadał jak najęty.
- Ja mam na głowie rodzinę i mały folwark, a tu...
- Morda w kubeł! – ryknął dowódca, zawracając konia – Zaczyna się... – dodał ciszej, zakładając swój hełm garnczkowy. Kaptur kolczy opadał na pierś wojownika, pokrytą szczelnie kolczugą i szatą z herbem. Otto wyciągnął miecz i zacisnął zęby.
- Teraz sobie ulżymy... – dodał, podnosząc broń w górę. Na ten sygnał, jeźdźcy z chorągwi ruszyli z miejsc. Konie szybko przeszły w galop, niosąc swoich panów na spotkanie przeznaczenia.

\*\*\*

- Zderzyliśmy się... - dziad opowiadał teraz w kompletnej ciszy - Wojska Jagiełły zaatakowały z dziwną, pewnie pogańską pieśnią na ustach. Krew lała się strumieniami, drogie dziatki. Nasz umiłowany zakon walczył bohatersko, dzięki Bożej pomocy, ale to

była walka z dzikim zwierzem. Ich rycerstwo, tfu... – splunął siarczyście - ... biło się dzielnie. Wśród nich był jeden demon prawdziwy, co waszego pana położył...

- Wiemy, wiemy! – krzyknął rudzielec, drżąc ze strachem – Czarny Sulima!
- O tak... – dodał z rozmarzeniem dziad – Czarna Lilia stał się z Zawiszą Czarnym...

\*\*\*

Znaleźli się w ogniu bitewnym. Dookoła ginęli ich podkomendni, zarzynając przeciwników w bestialski sposób. Nie tylko miecz służył za narzędzie śmierci. Noże, dzidy, topory, maczugi, hełmy, ułamane drzewce włóczni, a nawet kamienie z okolicznej dolinki, wszystko to pomagało wygrać, przeżyć. Kosztem życia innych. Bóg by tego nie chciał. Na pewno.

- Dziwny jest ten Wschód... – ryknął Otto, zrzucając hełm. Z rozciętego łuku brwiowego ciekła mu krew – Podobno jesteście wierzący, a wasi królowie wysyłają demony do walki.
- Mówicie o mnie, panie Niemiec? – odkrzyknął Zawisza Czarny z Grabowa. Pokryty był czarną posoką od stóp do głów. W jego gęstą brodę zaplątał się odrąbany palec. Rycerz ścisnął w dłoni swój potężny, dwuręczny miecz. Nie czekając na sygnał, rycerz rzucił się do walki. Lovenlande odpowiedział. Miecze zderzyły się z trzaskiem. Dwaj wojownicy wymieniali szaleńcze ciosy, krzywiąc się z wysiłku. Niemiec wykorzystał moment nieuwagi polskiego żołnierza i trzasnął go, nabijaną ćwiekami rękawicą, w twarz. Sulima zatoczył się, ale nie upadł. Wypluł na ziemię złamany ząb i uśmiechnął się paskudnie. Daskoczył do Otta. Pojedynek rozgorzał na nowo. Nagle, przez głowę przemknęła jedna, samotna myśl. „Zginę, na pewno zginę”. To stało się parę sekund później. Jednym, potężnym ruchem, Polak odrąbał głowę niedoszłego zakonnika. Ciało bezładnie upadło na ziemię. Sulima nawet się nie zatrzymał. Przeskoczył nad ciałem i ruszył przed siebie, widząc zagrożony królewski sztandar. Głowę Otta stratował kilka minut później koń krzyżacki, podczas manewru taktycznego, zwanego potocznie ucieczką.

\*\*\*

Dziad skończył opowiadać. Dzieci spuściły głowę.

- Wschodni barbarzyńcy atakowali tak zaciekle i szaleńczo, że nasz wspaniały mistrz, Ulrich von Jungingen, jeszcze przed swoją bohaterską śmiercią, dał rozkaz do odwrotu. Gdyby nie to, możliwe, ba nawet pewne, żebyśmy wygrali!  
Siedzący obok rudzielca, pyzaty blondynek pokiwał głową.
- Nie mogę tego zrozumieć dziadzie. Mówicie, że Bóg jest najsilniejszy i najlepszy. Więc jakim cudem wy, podobno wysłannicy Boży, przegraliście z tamtymi „zwierzętami”?  
Dziad pokiwał głową.
- Jak cię zwa chłopcze?
- Jaśko, syn karczmarza ze wsi.
- Skąd jesteś?
- Mój tatko z Wielkopolski pochodził. Przenieśliśmy się tu po wielkiej wojnie, bo kraj wyniszczony był prawdziwie. Dziadek mówił, że zupełnie inaczej było. Że to przez was...

- Zamknij się przybłedo! – krzyknął Badył, uderzając chłopaka w twarz. Ten zerwał się z miejsca, dumnie podniósł głowę, oddał rudzielcowi i uciekł. Dziad pokręcił głową.
- Zapamiętajcie. Ten kraj jest jedyny w swoim rodzaju. Ten dzieciak miał nie więcej niż dziesięć lat, a nie bał się postawić silniejszemu od siebie. Jego pobratymcy tacy sami są. Dziwni to ludzie. Jak i cały Wschód z resztą.



ROK GRUNWALDZKI  
NA ZAMKU W MALBORKU